

Instytut Pamięci Narodowej

<https://ipn.gov.pl/pl/wydawnictwo/o-ksiazkach/poczytaj/nie-tylko-o-ksiazkach/103788,Zbrodnie-nierozliczone-Heinz-Reinefarth-i-Powstanie-Warszawskie.html>
26.02.2026, 20:32

Zbrodnie nierozliczone. Heinz Reinefarth i Powstanie Warszawskie

Rozmowa z „Biuletynu IPN” z dr. Philippem Martim

31.07.2020

Zbrodnie nierozliczone

Heinz Reinefarth i Powstanie Warszawskie

**Z dr. Philippem Martim, autorem książki *Sprawa Reinefartha*,
rozmawiają Filip Gańczak i Maciej Foks**

Zbrodnie Nierozliczone. Heinz Reinefarth i Powstanie Warszawskie

Historia Heinza Reinefartha zaczyna się na długo przed II wojną światową. Od roku 1932 był członkiem NSDAP i SS, ale jego kariera w tym czasie nie była całkiem typowa w porównaniu z innymi ludźmi, którzy zajęli później wysokie stanowiska w państwie Adolfa Hitlera.

Tak. Od lat dwudziestych był zaliczany do kręgu tzw. volkistowskich nacjonalistów, a przekonany narodowy socjalistą był już przed przejęciem władzy przez Hitlera. Należał do pionierów ruchu narodowosocjalistycznego w regionie Cottbus, gdzie pracował. Ale nie palił mostów łączących go ze światem mieszczańskim. Miało to związek z jego zajęciami zawodowymi – był adwokatem i bardzo dobrze zarabiał. Jego znajomi z SS, zwłaszcza szef Policji Porządkowej Kurt Daluge, chcieli go wylansować i co jakiś czas składali mu propozycje, on jednak – jak wynika z zachowanych materiałów – nie widział dostatecznego powodu, by podjąć pełnoetatową pracę w aparacie SS i policji. O przyczynach można tylko spekulować. Wiele wskazuje jednak na to, że przeważały zalety zamożnego mieszczańskiego życia. Nie znaczy to, że nie mógł się angażować na rzecz sprawy narodowosocjalistycznej.

W książce *Generation des Unbedingten (Pokolenie bezwarunkowości)* Michael Wildt pisze o grupie ludzi, którzy – tak jak Reinefarth – urodzili się około roku 1900, pochodzili z klasy średniej, byli dobrze wykształceni (w większości humaniści lub prawnicy) i w czasach kryzysu gospodarczego, w wieku mniej więcej trzydziestu lat, dostrzegli możliwości kariery w SS. Reinefarth właściwie odpowiadałby temu idealnemu typowi esesmana. Jego kariera to jednak kariera wojenna. Można przypuszczać, że nie byłoby jej, gdyby nie wybuch wojny. Heinz Reinefarth poszedł na wojnę jako zwykły żołnierz Wehrmachtu. W SS był wprawdzie Hauptsturmführerem, co w regularnej armii odpowiadałoby kapitanowi, ale w Wehrmachcie na początku wojny był tylko szeregowcem rezerwy.

We wrześniu 1939 r. wziął udział w walkach w Polsce. Czy wiadomo coś więcej o tym epizodzie w jego życiu?

To okres, który raczej pozostaje w cieniu innych wydarzeń. Na przełomie lat 1939/1940 Reinefarth trafił do szkoły podoficerskiej, a wkrótce – oficerskiej. Wiosną 1940 r. walczył we Francji i za zasługi na froncie dostał Krzyż Rycerski. Wywołało to poruszenie, bo Reinefarth był jednym z pierwszych żołnierzy nieoficerów, którzy zostali uhonorowani tym odznaczeniem. Pomogło to jego karierze w SS. Oficjalnie jednak do 1942 r. Reinefarth pozostawał w Wehrmachcie i prowadził praktykę adwokacką, ze względu na nieobecność scedowaną na zastępców. Zrezygnował z praktyki dopiero wówczas, gdy w roku 1942 przeszedł do Policji Porządkowej. To też ciekawe: nie trafił do Policji Bezpieczeństwa, podlegającej wówczas Reinhardowi Heydrichowi, lecz do Policji Porządkowej Kurta Dalwegego.

Reinefarth znalazł zatrudnienie w Protektoracie Czech i Moraw. Później objął w Poznaniu stanowisko wyższego dowódcy SS i Policji w tzw. Kraju Warty. Na tym terenie byli już wówczas mordowani Żydzi. Dochodziło też do przymusowych deportacji Polaków. Na ile Reinefarth jest odpowiedzialny za te zbrodnie?

Jego osobistej odpowiedzialności nie należy z pewnością dezawuować. Z drugiej strony trzeba powiedzieć, że – choć w żaden sposób nie chcę go bronić – Reinefarth nie był wówczas konieczny do przeprowadzenia narodowosocjalistycznej polityki zagłady w Kraju Warty. To dziwne, bo formalnie był w tym okresie najwyższym rangą policjantem w okręgu. W rzeczywistości jednak polityka germanizacji i zagłady ruszyła już wcześniej. Reinefarth z pewnością był o wszystkim dobrze poinformowany. Starał się również odgrywać pewną rolę w tej polityce, ale z tego, co wiadomo, nie był kluczową figurą. Przybył nieco za późno. Decydująca była rola namiestnika Arthura Greisera i innych osób z SS, które przebywały w Kraju Warty od dłuższego czasu.

1 sierpnia 1944 r. wybuchło Powstanie Warszawskie. W jaki sposób Reinefarth trafił do Warszawy? Jaki był jego udział w zbrodniach z czasu powstania?

Za nominację Heinza Reinefartha odpowiadał szef SS Heinrich Himmler. Dostępne źródła nie dają jednak jasnej odpowiedzi na pytanie, dlaczego został wybrany akurat Reinefarth. Być może dlatego, że cieszył się wówczas dobrą reputacją jako żołnierz frontowy. Z drugiej strony w roku 1944 nie wymagało się już tak dużego profesjonalizmu wojskowego jak w 1940. Trzeba pamiętać, że jedynym doświadczeniem wojskowym Reinefartha była do tego czasu służba porucznika Wehrmachtu. Nie miał on żadnego doświadczenia sztabowego. W tym czasie w III Rzeszy liczyły się jednak stabilność ideologiczna, domniemana odwaga i śmiałość. Osoby uznawane za pewne ideologicznie często były wynoszone na wysokie stanowiska wojskowe. Reinefarth jest tego dobrym przykładem. W pierwszych dniach sierpnia 1944 r. mocno improwizował. Zebrał jednostki policyjne z Kraju Warty, które razem z innymi siłami, jak specjalna formacja Oskara Dirlewangera, pojechały do Warszawy. Na początku powstania Niemcy byli w defensywie, ale dość szybko otrzymali posiłki.

Zadanie Reinefartha było jasne. Nie miała to być tylko akcja wojskowa, bo Armia Krajowa nie była uznawana przez Niemców za prawowite wojsko. Chodziło więc o akcję karną przeciwko powstaniu. Himmler chciał to zrobić dla przykładu. Los Warszawy miał promieniować na cały front wschodni. Nauka miała brzmieć: „Każdy opór zostanie złamany z całą brutalnością”. Nie czyniono już rozróżnienia między ludźmi, którzy walczą, i cywilami. Stąd rozkaz Himmlera do Reinefartha i innych pacyfikatorów Powstania Warszawskiego nakazujący zabić wszystkich mieszkańców, o ile nie są Niemcami. Odpowiedzialność Reinefartha polega na tym, że 5 i 6 sierpnia systematycznie wykonywał ten rozkaz i przekazywał go dalej. Interesujące, że Erich von dem Bach-Zelewski, jeden z najokrutniejszych niemieckich dowódców na ziemiach okupowanych,

ograniczył ten powszechny rozkaz rozstrzeliwania. Widział bowiem, że w tej formie rozkaz jest szkodliwy, gdyż opóźnia walki. Von dem Bach-Zelewski zjawił się w Warszawie krótko po Reinefarthie i objął kierownictwo nad wojskami niemieckimi. Od tego momentu rozstrzeliwanie cywilów zdarzało się dużo rzadziej.

Reinefarth 5 sierpnia 1944 r. w rozmowie telefonicznej z gen. Nikolausem von Vormannem wypowiedział słynne dziś słowa: „Co mam robić z cywilami? Mam mniej amunicji niż jeńców”.

Rozmowa z Vormannem to tylko jeden z przykładów – akurat najbardziej znany opinii publicznej. Z punktu widzenia historyka o winie Reinefartha przesądza okoliczność, że w czasie masowych egzekucji to on ponosił główną odpowiedzialność za to, co działo się w Warszawie. Nie ma poszlak, że choćby w niewielkim stopniu próbował zatrzymać masowe zbrodnie.

Jak to możliwe, że po wojnie Reinefarth pomyślnie przeszedł denazyfikację i znów był aktywny zawodowo?

Początkowo chodziło mu tylko o to, żeby przeżyć. Trafił do amerykańskiej niewoli. Miał szczęście, że Amerykanie widzieli w nim dowódcę wojskowego, a nie funkcjonariusza aparatu okupacyjnego. Reinefarth przedstawiał się jako człowiek honoru, jako dowódca wojskowy, a nie nazista. Był elokwentny, na pierwszy rzut oka nie odpowiadał typowemu wizerunkowi zbrodniarza narodowosocjalistycznego. Początkowo Amerykanie nie wiedzieli zresztą o wszystkim.

Ostatnim zadaniem Reinefartha w czasie wojny była obrona twierdzy Kostrzyn. Na tej podstawie sfabrykował potem swoją legendę. Z częścią żołnierzy opuścił bowiem twierdzę, wbrew rozkazowi Hitlera. Początkowo nie chciał tego zrobić, ale dał się przekonać swoim oficerom. Później prezentował się jako ktoś, kto zignorował rozkaz Führera, a więc działał bardzo odpowiedzialnie. Bardzo wyolbrzymiał ten rzekomy opór. Twierdził również, że nie wstąpił do SS celowo, tylko jako funkcjonariusz policji został przyjęty automatycznie. W obliczu zaczynającej się zimnej wojny amerykański kontrwywiad wojskowy CIC interesował się wówczas czołowymi postaciami Rzeszy Niemieckiej mającymi doświadczenie z terenów wschodnich. Reinefarth został w ten sposób pozyskany jako informator i był chroniony, gdy wkrótce – na przełomie lat 1946/1947 – okazało się, że po pierwsze, nie ma zbyt wielu informacji cennych dla CIC, a po drugie, jest w dużej mierze odpowiedzialny za zbrodnie podczas tłumienia Powstania Warszawskiego. Zapadła wtedy decyzja, że z powodów politycznych jest za późno, by wydać go Polsce.

Jak została uzasadniona odmowa ekstradycji?

Względami bezpieczeństwa, a więc bardzo ogólnikowym frazesem. Wiadomo już było, że z Reinefarthem jest problem. Amerykanie próbowali jednak przeczekać, aż sprawa ucichnie. Reinefarth był przetrzymywany w obozach internowania. Zeznawał nawet jako świadek w Norymberdze. W 1948 r. został zwolniony i osiadł na wyspie Sylt w brytyjskiej strefie okupacyjnej, gdzie rodzina jego żony miała domek letniskowy. Czekало go jeszcze postępowanie przed sądem orzekającym, badającym przynależność do organizacji nazistowskich uznanych za zbrodnicze. Reinefarthowi udało się jednak przekonać sąd, że jako generał policji wstąpił do SS przymusowo. Przedstawiał się jako wyjątek wśród wysokich funkcjonariuszy SS – jako ktoś, kto pod koniec wojny działał chwalebnie w twierdzy Kostrzyn.

Dlaczego sąd nie był w stanie zweryfikować tej opowieści?

Sądy orzekające pracowały wyraźnie pod presją czasu. Nie miały też oczywiście wszystkich

informacji, choćby dostępu do akt znajdujących się w Polsce. Po drugie, z czasem denazyfikacja była coraz mniej akceptowana w niemieckim społeczeństwie. Na przełomie lat 1945/1946 uznawano jeszcze potrzebę oczyszczenia społeczeństwa przez aliantów. Gdy w 1948 r. Reinefarth stał przed sądem, nastroje były już inne. Brytyjskie urzędy okupacyjne chciały możliwie szybko skończyć z denazyfikacją. Trzeba dodać, że sądy orzekające były kierowane przez niemieckich urzędników wymiaru sprawiedliwości, a Brytyjczycy sprawowali jedynie nadzór zwierzchni. Reinefarth został uniewinniony. Czekало go jeszcze postępowanie denazyfikacyjne. Osoby nim objęte były przyporządkowywane do jednej z pięciu kategorii: „główni winowajcy”, „obciążeni”, „obciążeni w mniejszym stopniu”, „bierni uczestnicy” i „uwolnieni od zarzutów”. Z uwagi na uniewinnienie przed sądem i jego uzasadnienie, podkreślające rzekome honorowe postępowanie Reinefartha, miał on od początku duże szanse, by zostać zakwalifikowanym do jednej z niższych kategorii. W roku 1948 nie przydzielano już kategorii pierwszej i drugiej. Reinefarth nie został nawet zaszeregowany do trzeciej, lecz początkowo do czwartej, tzn. do „biernych uczestników”. Odwołał się od tego i ostatecznie został zakwalifikowany do piątej, najniższej, kategorii. W tym czasie w brytyjskiej strefie okupacyjnej denazyfikacja była już prowadzona zupełnie absurdalnie. Nawet Hinrich Lohse, gauleiter Szlezewiku-Holsztyna, trafił do środkowej kategorii. Te postępowania straciły już jakiegokolwiek znaczenie. Ale formalnie Reinefarth został uwolniony od zarzutów. Mógł więc wrócić do pracy jako adwokat i zaangażować się w życie polityczne.

Wstąpił do Związku Wypędzonych ze Stron Ojczystych i Pozbawionych Praw (BHE). Został wybrany na burmistrza Westerlandu, a później deputowanego do regionalnego parlamentu. W jaki sposób udało mu się tak szybko zyskać popularność w Szlezewiku-Holsztynie, landzie, w którym przecież nie dorastał?

Szlezewik-Holsztyn był wówczas landem z najwyższym odsetkiem uchodźców z dawnych terenów wschodnich Rzeszy. W niektórych gminach uchodźcy stanowili nawet większość mieszkańców. Na wyspie Sylt również było ich wielu. Dochodziło do napięć między miejscową ludnością a przybyszami ze wschodu. Reinefarth, który od lat dwudziestych co roku spędzał urlop na Sylcie, był znany miejscowym. Cieszył się również uznaniem uchodźców. Był więc w idealnej sytuacji, by występować jako pośrednik. Robił to bardzo zręcznie. Starał się nawiązywać kontakty. Udzielał uchodźcom bezpłatnych porad prawnych. Angażował niesamowicie dużo energii, żeby zdobyć uznanie uchodźców i miejscowych. Był to czas naznaczony przez poważne trudności gospodarcze. Niewielu wówczas mocno interesowało się tym, co dokładnie wydarzyło się w trakcie wojny. Ludzie chcieli patrzeć do przodu. Chodziło o to, by zwalczać biedę i jakoś radzić sobie z życiem. Reinefarth był postrzegany jako ktoś, kto bierze się do pracy i pomaga innym; jako były dowódca wojskowy, a nie zbrodniarz z terenów okupowanych. Jego Krzyż Rycerski dodatkowo zapewniał mu respekt. Owszem, krążyły pogłoski, że „było coś z Powstaniem Warszawskim”, ale postrzegano je wówczas jako nielegalny akt oporu, który niemieckie wojsko musiało stłumić. Wierzano, że Reinefarth jedynie wykonywał rozkazy.

Kiedy w Niemczech zmienił się publiczny wizerunek Reinefartha? Czy przełomowy okazał się enerdowski film *Urlop na Sylcie* z 1957 r.?

W bardzo dużym stopniu, chociaż początkowo film w zasadzie został zaszufiadkowany w RFN jako materiał propagandowy. Po kilku miesiącach znów zawrzało w tej sprawie, gdy niemiecki profesor Hans Thieme, historyk prawa, napisał list do tygodnika „Der Spiegel”, największego magazynu politycznego w Niemczech. Thieme oskarżył Reinefartha i właściwie potwierdził zarzuty postawione w filmie. To miało już w RFN dużo większą wagę. Ten profesor z Fryburga sam był w Warszawie jako oficer. Był adiutantem oficera sztabowego i na własne uszy słyszał, jak Reinefarth

powiedział, że nie ma wystarczająco dużo amunicji, by rozstrzelać wszystkich jeńców. Wiarygodność profesora sprawiła, że wybuchł skandal. Mimo to Reinefarth, który od siedmiu lat był już burmistrzem, zgodził się kandydować do regionalnego parlamentu Szlezewiku-Holsztyna. Wywołało to wielkie wzburzenie. Chociaż jesienią 1958 r. Reinefarth dostał się do landtagu, był to początek końca jego kariery politycznej.

Przez lata w RFN toczyło się w jego sprawie postępowanie. Dziś trudno zrozumieć, dlaczego nie został nawet wniesiony akt oskarżenia. Przecież także wówczas udawało się postawić w stan oskarżenia, a niekiedy również skazać, rozmaitych zbrodniarzy z NSDAP i SS.

W latach sześćdziesiątych stłumienie Powstania Warszawskiego oceniano w RFN jako wydarzenie wojskowe. Duża część społeczeństwa, ale również prawników, uważała walkę z partyzantami za coś zupełnie innego niż zbrodnie narodowosocjalistyczne, np. w obozach koncentracyjnych. Owszem, w sprawie Reinefartha istniały konkretne zarzuty i poszlaki, że doszło do zbrodni wojennych. Prawnicy byli jednak zakładnikami kodeksu postępowania karnego. Przewidywał on, że Reinefarthowi trzeba przypisać konkretne zbrodnie. Do dziś nie jest znany pisemny rozkaz Himmlera w sprawie rozstrzeliwania cywilów, wydany Reinefarthowi lub komuś innemu. Pozostawały więc zeznania świadków. Ci z kolei w ogromnej większości mówili, że nie mogą sobie przypomnieć, by Reinefarth przekazał rozkaz rozstrzeliwania. To zrozumiałe, bo wielu świadków też było potencjalnymi sprawcami. Jeśli zdarzały się wyjątki i ktoś mówił, że coś sobie przypomina, przywiązywano do jego słów mniejszą wagę niż do zeznań korzystnych dla burmistrza. Zbrodnie, które trzeba było przypisać Reinefarthowi, były rozpatrywane w oderwaniu od siebie. Teren, na którym zwalczano powstanie, został na potrzeby postępowania podzielony na mniejsze obszary, na których walczyły poszczególne jednostki. Następnie badano, czy te jednostki działały na konkretny rozkaz Reinefartha. Powstanie Warszawskie zostało też podzielone na różne okresy. Prawnicy niekoniecznie wykonywali swoją pracę niesumiennie. Byli to jednak ludzie naznaczeni przez czas, w którym żyli: trzydziesto-, czterdziesto-, pięćdziesięciolatkowie, którzy w większości sami przeżyli wojnę jako żołnierze, częściowo nawet oficerowie. Niekoniecznie aprobowali zbrodnie wojenne, ale wychodzili z ówczesnego założenia, że w czasie wojny czasem trzeba wykonywać rozkazy. Kryteria były wtedy inne niż dzisiaj.

Czy w tym czasie Reinefarth wypowiadał się publicznie na temat swojej działalności podczas tłumienia Powstania Warszawskiego?

Tylko wówczas, gdy został do tego zmuszony, i nawet wtedy bardzo ogólnikowo. Podkreślał, że był to czas, gdy wykonywało się swój obowiązek. O szczegółach mówił tylko podczas dochodzenia, przy czym, jeśli tylko mógł, twierdził, że rozmaitych rzeczy już sobie nie przypomina.



Upamiętnienie około 12 000 mieszkańców dzielnicy Wola oraz pacjentów, lekarzy, studentów medycyny i pracowników Szpitala Wolskiego przy ul. Płockiej, pomordowanych przez Niemców w rejonie ul. Górczewskiej w dniach 5-12 sierpnia 1944 roku, podczas tłumienia Powstania Warszawskiego (fot. M. Foks).

W 2011 r. sąd w Monachium skazał na pięć lat więzienia Johna Demianiuka. Uznano go za winnego współudziału w zagładzie Żydów w Sobiborze. Gdyby dzisiaj obowiązywały podobne kryteria jak w czasach Reinefartha, nie byłoby szans na taki wyrok.

Prawdopodobnie nie. Ważne jest także to, jakie wrażenie Reinefarth sprawiał na innych. W ówczesnej powszechnej opinii zbrodniarzem nazistowskim był członek SA, który w latach walki o władzę w Niemczech bił komunistów, albo nadzorca z obozu koncentracyjnego – a więc jakiś podejrzany typ. Pewien niemiecki naukowiec napisał kiedyś, że zbrodniarz nazistowski to obozowy strażnik, którego zna się z procesu oglądanego w telewizji, ale z pewnością nie nauczyciel, uprzejmy sąsiad, wykształcony prawnik. Tego wielu ludzi nie potrafi sobie wyobrazić. Patrzą na cechy zewnętrzne.

Czy w latach sześćdziesiątych zachodnioniemiecka prokuratura była zainteresowana tym, by znaleźć świadków również w Polsce?

Niektóre prokuratury robiły tak w innych postępowaniach. Prokuratura we Flensburgu, zajmująca się postępowaniem w sprawie Reinefartha, była bardzo wstrzemięźliwa. Analizowała polskie akta, które znajdowały się w Centrali Badania Zbrodni Narodowosocjalistycznych w Ludwigsburgu, zlecała tłumaczenie polskich artykułów prasowych i współpracowała z historykiem Hannsem von Krannhalsem, wówczas w RFN jednym z najbardziej znanych ekspertów w sprawach polskich. Von Krannhals utrzymywał kontakty z Polską, jeździł do PRL i analizował akta dochodzeniowe w Warszawie. Nie było jednak bezpośredniej współpracy urzędów wymiaru sprawiedliwości w RFN i Polsce. Co więcej, we Flensburgu polskim dokumentom i relacjom prasowym przypisywano dużo mniejsze znaczenie niż aktom dochodzenia toczącego się w RFN.

Po przeczytaniu Pana książki można odnieść wrażenie, że w latach sześćdziesiątych również strona polska nie była szczególnie zainteresowana międzynarodową współpracą w sprawie Reinefartha.

Strona polska domyślała się wówczas, że Reinefarth prawdopodobnie tak czy inaczej nie zostanie prawomocnie skazany w RFN. W tej sytuacji korzystne było dla niej propagandowe wykorzystanie tego faktu, nie zaś przesadne pomaganie stronie zachodnioniemieckiej.

Po odejściu ze stanowiska burmistrza Reinefarth znów praktykował jako adwokat, nie został jednak dopuszczony do zawodu notariusza.

Mówimy o pierwszej połowie lat siedemdziesiątych. Urząd kanclerza RFN piastował Willy Brandt, prowadzący nową politykę wschodnią. Atmosfera polityczna była już w tym czasie inna niż w poprzedniej dekadzie. Tłumaczono, że wprawdzie Reinefarth został uniewinniony, ale odegrał historyczną rolę, za którą musi wziąć odpowiedzialność i dlatego nie może zostać notariuszem. Rozróżniano przy tym rolę adwokata od roli notariusza, bo jako notariusz – mający dostęp do akt administracyjnych – Reinefarth nie pracowałby w wolnym zawodzie, lecz wykonywałby uprawnienia władzy państwowej.

Reinefarth nie stracił jednak uprawnień emerytalnych.

To prawda, przy czym była to przede wszystkim emerytura burmistrza. Ścieżka wojskowa

Reinefartha biegła regularnie tylko do stopnia porucznika. Emerytura porucznika była dość niska, ale jako były burmistrz i adwokat był on w bardzo dobrej sytuacji finansowej.

Pańska książka przyczyniła się do tego, że trzy lata temu na ścianie ratusza w Westerlandzie odsłonięto tablicę pamiątkową z wymownymi słowami: „Zawstydzeni pochylamy się nad ofiarami z nadzieją na pojednanie”. Dla największych niemieckich mediów nie był to temat kontrowersyjny. Inaczej patrzyła na to lokalna społeczność.

Na poziomie lokalnym utworzono komisję, która w roku 2013 i w pierwszej połowie 2014 debatowała, co należy zrobić z pamięcią o Heinzu Reinefarcie. Wydanie niemieckie mojej książki było zapowiedziane na kwiecień 2014 r., a 1 sierpnia przypadała siedemdziesiąta rocznica wybuchu Powstania Warszawskiego. Zapytałem władze gminy, czy częściowo sfinansowałyby książkę. Zgodziły się, ale sprawa upamiętnienia pozostawała otwarta. Wiem z drugiej ręki, że za kulisami toczyła się bardzo emocjonalna dyskusja. Szerokie kręgi centroprawicowe niekoniecznie były za tym, żeby tablica znalazła się na ścianie ratusza. Początkowo mówiono o odsłonięciu pamiątkowego kamienia na cmentarzu w pobliżu Westerlandu. Owszem, są tam pochowani polscy robotnicy przymusowi, ale byłoby to miejsce, gdzie nikt by nie przechodził. Po długich przepychankach zdecydowano się na tablicę pamiątkową. Pozostawało pytanie, czy pojawi się na niej nazwisko Reinefartha, czy tylko wspomni się o ofiarach Powstania Warszawskiego. Liderzy opinii publicznej postawili na swoim, tłumacząc, że nie można pominąć Reinefartha i trzeba mieć na uwadze, co wówczas napiszą media. „Jeśli na tablicy nie będzie nazwiska Reinefartha, dojdzie do skandalu” – przekonywano.

Jak Pana książka została przyjęta w Niemczech?

Jeśli chodzi o media i opinię publiczną, dotarły do mnie prawie wyłącznie pozytywne reakcje. Wiem, że na wyspie Sylt pojawiły się również krytyczne oceny. Niektórzy byli przekonani, że minęło już dużo czasu i w gruncie rzeczy nie jestem uprawniony, by oceniać Reinefartha, bo w ogóle go nie znałem. Ogólna reakcja była jednak bardzo pozytywna. Mówiono też, że to interesujące, że tę książkę napisał Szwajcar.

Czy w Szwajcarii również śledzono tę debatę z zainteresowaniem?

Raczej w niewielkim stopniu. To nie jest szwajcarski temat.

Na ile II wojna światowa jest obecna w szwajcarskich podręcznikach szkolnych? Co się w nich akcentuje?

Generalnie II wojna światowa jest naznaczona europejską perspektywą. Najczęściej pojawia się po rozdziale poświęconym narodowemu socjalizmowi. Na pierwszy plan w podręcznikach szkolnych z pewnością nie jest już dziś wysuwana historia działań wojennych. Bardziej akcentuje się Holocaust i narodowy socjalizm. Pojawia się również, ale raczej jako wątek poboczny, rola Szwajcarii w II wojnie światowej, oceniana obecnie dużo krytyczniej niż jeszcze w latach dziewięćdziesiątych.

A jak Pan ocenia tę rolę?

Tu akurat w pewnym stopniu mogę się przyłączyć do mainstreamu, zwłaszcza że nie jest to obszar naukowy, w którym się specjalizuję. Od lat dziewięćdziesiątych mocniej podkreśla się, że Szwajcaria ponosi moralną winę za to, że współpracowała nie tylko z aliantami, lecz również z nazistowskimi Niemcami, że nie przyjmowała uchodźców na granicy. Z drugiej strony jest jasne,

że był to dla Szwajcarii trudny czas i nie wiadano, co się wydarzy. Ale narracja, w myśl której Szwajcaria bohatersko się broniła i odegrała pozytywną rolę, została już przełamana. W latach dziewięćdziesiątych silna presja zagranicy – mediów, ale też żydowskich grup interesu – doprowadziła do tego, że powołano komisję historyków, która całościowo i w sposób dużo bardziej krytyczny niż do tej pory – według niektórych, zbyt krytyczny – opisała rolę Szwajcarii w II wojnie światowej.

W czasie wizyty w Warszawie w sierpniu 2014 r. rozmawiał Pan z ludźmi, którzy przeżyli rzeź Woli.

Uważali, że książka, którą napisałem, jest ważna. Bezpośrednie spotkania z tymi, którzy ocaleli, robią, rzecz jasna, wrażenie i są dla mnie wzruszającym przeżyciem.

Jak to się stało, że Pan, szwajcarski historyk, zainteresował się historią polsko-niemiecką?

Pracę magisterską poświęciłem walkom o Berlin w 1945 r. Na obrzeżach tego tematu pojawił się Heinz Reinefarth, wówczas komendant twierdzy Kostrzyn. Kilka lat później, gdy zabierałem się do doktoratu, zajmowałem się badaniami nad sprawcami nazistowskimi i planowałem pisać na ten temat. W pewnym momencie pomyślałem znów o Reinefarthie. Zdałem sobie sprawę z tego, że chociaż jego kariera była tak niezwykła, nie ma o nim żadnej pracy naukowej. Bardzo mnie to zafascynowało i zacząłem nad tym pracować. Udałem się do archiwum w Szlezwiku-Holsztynie, w którym są przechowywane akta postępowania przygotowawczego w sprawie Reinefartha. Zrozumiałem, że ze względu na charakter dostępnych źródeł punktem ciężkości pracy będą rozliczenia prawne Powstania Warszawskiego na przykładzie Heinza Reinefartha. Nie napisałem zatem klasycznej biografii. Reinefarth stał się dla mnie pretekstem do szerszych rozważań.

Z jakich źródeł Pan korzystał?

Zdecydowanie najważniejsze były dla mnie materiały dochodzenia z Archiwum Landu Szlezwik-Holsztyn w Szlezwiku. W mniejszym stopniu korzystałem z dokumentów przechowywanych w Westerlandzie. Tam zapoznałem się przede wszystkim z lokalnymi gazetami z lat pięćdziesiątych, żeby przedstawić karierę Reinefartha w tym okresie. Urzędowe protokoły pokazujące politykę lokalną w RFN w latach pięćdziesiątych są bardzo skąpe. Za to w lokalnych gazetach z tego czasu można znaleźć bardzo barwne relacje pokazujące ówczesne nastroje, decyzje polityczne i osoby związane z Reinefarthem.

Ponad dziesięć lat temu szwedzki autor Niclas Sennerteg opublikował książkę o Reinefarthie (2003, wyd. polskie 2009 pod tytułem *Kat Warszawy*). Czy można ją porównywać z Pańską pracą?

Zaletą książki Sennertega jest to, że autorowi udało się nawiązać kontakt z rodziną Reinefartha. Jest to ważne źródło, jeśli chce się naświetlić życie rodzinne Heinza Reinefartha – lata trzydzieste, gdy jako młody adwokat pracował w Cottbus, ale też okres po roku 1945, gdy rodzina uciekła i osiedliła się na wyspie Sylt. Te wydarzenia zostały tam opowiedziane dość szczegółowo. Moje źródła nie pozwoliłyby na to w takim stopniu. Książka Sennertega nie jest jednak pracą naukową. Jej perspektywa została naznaczona przez wypowiedzi rodziny Reinefartha. W myśl tej narracji Heinz Reinefarth doświadczył tragicznego losu i został niesprawiedliwie potraktowany. Książka jest więc w tym sensie problematyczna.

Pan również próbował nawiązać kontakt z rodziną. Jak przebiegały te starania?

Bardzo osobliwie. Znalazłem w internecie numer telefonu wnuka Heinza Reinefartha. Jest to

człowiek dziś mniej więcej pięćdziesięcioletni. Napisałem do niego maila i skontaktowałem się z nim telefonicznie. Umówiliśmy się na wywiad. Nie doszedł on do skutku, bo mój pociąg został odwołany. Zadzwoiłem i przeprosiłem za zaistniałą sytuację. Wnuk Reinefartha odpowiedział: „Nie ma problemu, umówimy się na inny dzień”. Później jednak przekonywał, że nie ma czasu, aż w końcu w ogóle stracił zainteresowanie spotkaniem.

Próbował się Pan skontaktować z innymi członkami rodziny?

Zrezygnowałem z tego. Myślę, że jeśli wnuk zmienił zdanie, to rodzina musiała się porozumieć w tej sprawie. W tej sytuacji prawdopodobnie nie miałyby sensu zwracanie się do innych krewnych.

Czy w ostatnich latach rodzina Heinza Reinefartha wypowiadała się publicznie?

Publicznie nie. Wiem jednak, że jej członkowie zostali zaproszeni na posiedzenie wspomnianej przeze mnie komisji, która obradowała w Westerlandzie, i wypowiedzieli się zdecydowanie przeciwko umieszczaniu nazwiska Heinza Reinefartha na tablicy pamiątkowej. Nie zdołali jednak postawić na swoim.

Rozmawiali Filip Gańczak i Maciej Foks

Rozmowa pochodzi z numeru [7-8/2017 „Biuletynu IPN”](#)

►Lesen Sie das Gespräch auf Deutsch



Philipp Marti (ur. 1979) – historyk, dr, pracownik Wyższej Szkoły Pedagogicznej w Aarau i nauczyciel w gimnazjum w Burgdorfie. Autor książki *Sprawa Reinefartha. Kat Powstania Warszawskiego czy szacowny obywatel* (2016).

[Poprzedni Strona](#)

[Następny Strona](#)

Rozmowa

Powiązane wiadomości





Oskar Dirlewanger. SS-Sonderkommando „Dirlewanger”